№ 8 WARSZAWA, DNIA 22 LUTEGO 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

Książę Józef Poniatowski.

Ciąg dalszy.

„Lecz mniejsza o zaszczyty i dary! Rozwiał się bowiem wreszcie ów tuman, jaki przesłaniał go, przedzielał od narodu. Nareszcie można go było kochać, jak się chciało. Rzuciła się też ku niemu doraźnym porywem miłość narodowa, otoczyła go tchnieniem tak gorącem, blaskiem tak widnym, jaki zapala się tylko zrzadka w czuciu zbiorowem i tylko po to, aby nie ochłonąć ani pogasnąć nigdy, aby grzać i świecić po wszystkie czasy w nieziszczalnej narodowej tradycji". *).

Wielka miłość i aureola bohaterstwa, jaką od tych czasów otaczała niezmiennie osobę ks. Józefa, nikomu, zaiste, nie należały się więcej, jak jemu właśnie. Jeżeli się wniknie w jego niestrudzoną pracę przy tworzeniu regularnego wojska polskiego, bezustanne, dotkliwe kłopoty z ciągłemi brakami finansowemi a nadewszystko w ciągłą baczność i wielką zapobieliwość w rozwiązywaniu nader zawikłanych zagadnień politycznych—postać księcia Poniatowskiego wzrasta do rozmiarów tytana.

W ciągłej, gorączkowej pracy, bądź w Warszawie koło tworzenia wojska, bądź w Paryżu, przy boku Napoleona, który miał, niestety, oprócz ks. Józefa wielu innych doradców, tendencyjnie często przedstawiających mu sprawy Księstwa Warszawskiego, przetrwał wódz naczelny la-

*) Szymon Askenazy: «Ks. Józef Poniatowski», str. 181, 182, 183.



Bitwa pod Borodinem (dn. 7-go Września 1812 r.)

ta, dzielące zwycięstwa z r. 1809 od kampanji r. 1812.

Dn. 4 czerwca 1812 r. wyruszył ks. Józef w pole, niestety, nie jako wódz naczelny, lecz tylko jako wódz piątego korpusu, złożonego z trzech dywizji armji Księstwa Warszawskiego, w liczbie 36 tysięcy ludzi, pod ogólną komendą króla westfalskiego, Hieronima, który wsławił się zaraz w początkach wojny swem niedołęstwem i zupełną nieznajomością spraw wojennych.

W pierwszych zaraz czasach marszu Wielkiej Armji, okazały się wielkie braki w zaprowiantowaniu, co pociągało za sobą opłakane skutki: ks. Józef, zawsze nadzwyczaj czuły na dolę żołnierza, w raportach swoich donosił o tych niedostatkach cesarzowi, za co ten wyraził mu swe „nieukontentowanie, iż prawi o żołdzie i chlebie, kiedy chodzi o ściganie nieprzyjaciela".

Poniatowski, który pragnął cierpliwie znosić wszelkie uwagi, tyczące jego osoby, w tym wypadku z godnością stanął w obronie swego żołnierza, odpisując:

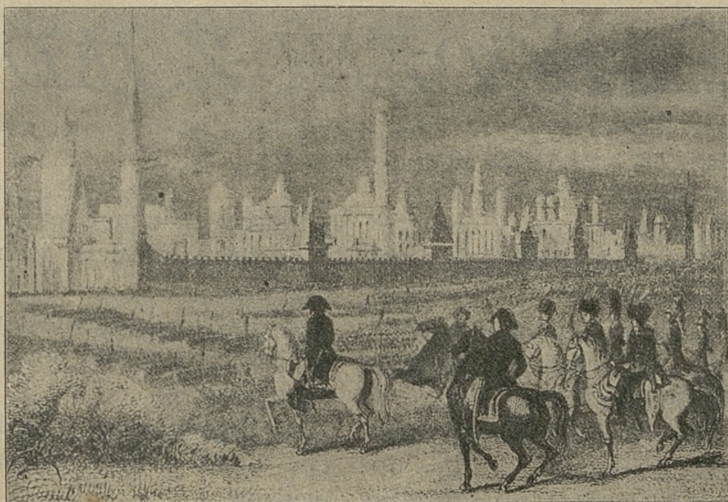
„Wyrzuty, czynione imieniem cesarza, wojsku polskiemu z powodu złego ducha, jaki rzekomo w niem panuje, ponieważ wzmiankowałem o znoszonem przez nie niedostatku, byłyby nader dotkliwe, gdyby każdy dzień, każda godzina nie przynosiły dobitnych dowodów zupełnego poświęcenia, jakiem to wojsko jest ożywione. Nigdy żołnierz nie żalił się, zawsze okazywał zapał i poświęcenie. Nie będę więcej mówił o jego potrzebach, skoro taka jest wola cesarza, ale uważałem za swój obowiązek, podtrzymując energję i zapał wojska, przypominać równocześnie o jego niedostatku temu, który ma we zwyczaju rozciągać ojcowską troskliwość na wszystkich swoich żołnierzy".

Pierwszą większą bitwą, w której od-

znaczyły się walecznością wojska polskie, był szturm Smoleńska.

Po niedługim spoczynku pod Smoleńskiem, prostą już drogą na Moskwę postępował Poniatowski. W początku września, nie dochodząc Borodina, uczestniczył w krwawym boju wstępnym, gdzie wraz szwadrony strzelców konnych, pomyślnie rozstrzygnął.

Lecz mimo te zwycięstwa, rozpaczliwość położenia poczynała okazywać się w całej grozie. Z pięknego swego korpusu miał już tylko przy sobie Poniatowski niespełna półpięta tysiąca bagnetów i do



Napoleon pod Moskwą (dn. 10 Września 1812 r.).

ze świtą osaczony chwilowo przez kawalerję nieprzyjacielską, musiał sam pałaszem utorować sobie wyjście.

W dwa dni później w wielkiej bitwie borodińskiej, oddany prawie na stracenie, bił się z impetem, rozwagą i szczęściem. Dn. 14 września ze strażą przednią wkroczył do Moskwy: na dwa dni tylko tutaj się rozłożył, pod karą najsurowszą wszelkiego wzbroniwszy rabunku. Zresztą zaraz pośpieszył wysunąć się za Moskwę w tropy ustępującego nieprzyjaciela. Niebawem pod Carykowem, przy wielkim trakcie kałuskim, na szybko i trafnie obranej pozycji, stoczył na własną rękę uporczywą sześciogodzinną potyczkę, którą w ostatniej już chwili, przy zapadającym zmroku osobiście prowadząc do ataku dwa tysiąca koni; jedynie artylerję cudem jakimś zachował niemal w całości i żadnego też, aż do samego końca, nie stracił sztandaru.

Tymczasem straszniejsza od ludzkiej nadciągała nieprzyjazna potęga żywiołowa. Nastawały przejmujące nocne chłody, szła przedwczesna ostra jesień, zapowiedź mroźnej, morderczej zimy. Nie łamał się przecie ks. Józef, nie uginał w nieszczęściu; owszem, prostował się, mocnił, uczył. Rosnącym przeciwnościom fizycznym i przyrodzonym dotrzymywał kroku wytrzymałością fizyczną i duchową. Dawał z siebie przykład znużonemu wojsku, sam codziennie od świtu ukazując się konno przed frontem, zawsze pogodny, przytomny, nadzwyczaj czujny.

(D. c. n.)

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

— Zabił cię!

— Pchnął mię — rzekł pachołek oszołomiony. — Ani wiem skąd.

— W dębie musi być dziupla — rzekł Sebastjan, który uważnie opatrywał drzewo. — Aż do samej ziemi.

— Żywo mnie nie dostaniecie! — krzyknął Hieronim zawzięcie.

Teraz wszyscy już poznali, że głos idzie z pnia dębu.

— Zobaczysz!—rzekł Marcin groźnie.— Smyku jeden! Wyłaź mi zaraz!

— Z ludźmi brat jegomość obławę na mnie czynisz?—krzyknął Hieronim.—No! kto na mię rękę podniesie, pożałuje!

Znać było, że się cały zapamiętał w swoim oporze. Marcin za to uspokoił się nagle.

— W łeb-eś sobie wrzepił, że w domu zostaniesz, ale nic z tego!—rzekł. — Wyłaź, bo ci dobrze wsypię, jak siłą dobędę.

— Dobywajcie! — zuchwale krzyknął Hieronim. — Ale kto się jeno w dziurze ukaże, tego strzałą między oczy, a wiedzą, iż dobrze strzelam!

Marcin tymczasem radził chwilę z Sebastjanem z boku.

— Głodem możnaby wziąć — rzekł Sebastjan.

Marcin machnął ręką.

— Jutro musicie jechać. Rozrąbiem drzewo.

— Hej, to go łatwie uranić mogą, Hieronima, gdy rąbać poczną — rzekł Sebastjan jeszcze.

— Rąbać będą na dole—odrzekł Marcin—niech polezie w górę, to mu nic nie uczynią.

Hieronim, który musiał mieć jakąś szczelinę przy którymś sęku i widział nią ludzi, odezwał się:

— I wy to na mnie nastajecie? Ty, Grzesiu, com cię z pod byka wyciągnął? I ty, Szymek, któremum mało sto razy pomógł, jak ci się stadnina rozbiegła, żeby jej żaden święty nie pozbierał?

Ludzie się mieszali, Grześ się usunął za Szymka, a Szymek schował się za Błażeja, starego skotaka.

— Ty, Błażeju? — rzekł Hieronim. — Już mię nic nie lubisz?

— Ady lubię — odrzekł Błażej, patrząc na dąb, jakby sam pień do niego zagadał.

— No, to odejdź! Idźcie sobie precz, zostawcie mię tu w spokoju!

Marcin podszedł, coś oglądał po pniu, potem rzekł do Sebastjana:

— Skoczże po siekierę, sam wracaj,

a na wieś poślij po Jamroza i Kiełbika, niech idą z toporami.

Sebastjan już był na koniu, okręcił go i kopnął się w las, ku drodze.

Hieronim nie dosłyszał, zobaczył jeno, że Sebastjan odjechał, i zapytał:

— Będziesz mię dobywał brat jegomość?

— Wyłaź! — rzekł Marcin.

Hieronim nic nie odpowiedział. Milczeli wszyscy.

— Co komu wadzi—odezwał się znów Hieronim — że po lesie chodzę na ptaki polujący?

— Wyłaź — rzekł Marcin.

— Wylezę, ale mnie nie wyślesz brat jegomość ni do Krakowa, ni gdzieindziej?

— A juści! — rzekł Marcin.— Jutro pojedziesz do Krakowa z Sebastjanem i drugim pachołkiem.

— No! kiedy tak, to dobrze, zdrajco! Nie powiozą mnie do Krakowa, chyba trupem!

Na tem skończyła się rozmowa. Właśnie wrócił Sebastjan z siekierą.

— Rąb!— rzekł Marcin.

W dębie było cicho, jakby Hieronima już nie było w dziupli.

Sebastjan rąbnął raz, drugi, trzeci. Siekiera ledwie płytko brała korę, takie stare to było i skamieniałe dębisko.

— Rąb, rąb nieboże! — szydził Hieronim — nie sporo ci pójdzie!

Ale Sebastjan się zawziął i rąbał jak człowiek uparty i pewny swego.

Słońce kładło się hen za wzgórki małopolskie i wpadało w las z ukosa, żółte. Sebastjan już się trochę wrąbał w dąb. Ale nadeszli drwale ze wsi. Gdy ich topory padły na pień odwieczny, jęknęła ziemia pod ciosem. Hieronim, który się już od jakiegoś czasu nie odzywał, nagle porwał się znowu, poczuwszy, że teraz już rąbią naprawdę.

— Stójcie! Stójcie!

Zatrzymali się.

— Ten dąb będziecie rąbali? — krzyknął Hieronim. — Ludzie, obaczcie się! Równia mu nie znajdzie w całej puszczy! Nieszczęście padnie na tego, kto go porąbie! Jakobyś na ojca, matkę rękę ściągnął!

Wszystko to powiedział mu kiedyś stary drwal Jacek, który teraz trzymał pasiekę z drugiej strony lasu. Hieronimowi serce biło jak dzwon, a głowa aż się mroczyła od pędu krwi rozgorzałej.

Drwale spoglądali z otwartemi ustami na dąb, potem na Marcina.

— Ale!—rzekł Marcin. — Leda co prawi! Rąb jeden z drugim, a żywo!

— Brat jegomość!—krzyknął Hieronim—. Sam każesz go rąbać, ty sam?

— Wyłaź! — rzekł Marcin.

Hieronim poważał wiele rzeczy. Ale z całej puszczy i z całego kraju, prócz może ogiera Wołoszyna, najbardziej czcił ten dąb odwieczny. Gdy Sebastjan ciukał po nim siekierą, Hieronim śmiał się z dumą, jakby twardość dębu była jego własną siłą.

— Nie damy się! — myślał.

Ale gdy przyszli drwale i padły pierwsze ciosy, Hieronim poczuł, posłyszał dreszcz, który przeszedł, odwieczne, skamieniałe drewno dębu. Było to jakby jęk przyjaciela, z wnętrzności ziemi idący. Struchlał ze zgrozy: naprawdę rozrąbią ten dąb, aby go dobyć.

— Nie.

— Wyłaź! — rzekł Marcin jeszcze raz.

Gdy nie było odpowiedzi, kazał rąbać.

— Wylezę! — krzyknął Hieronim.

Nie widział innego ratunku dla dębu.

— Ale dębu nikt nie ruszy, przysięgnijcie!

— Wyłaź!—rzekł Marcin.—Inaczej każę rąbać.

Hieronim namyślał się.

— No? — spytał Marcin.

— Wylezę.

Posłyszeli chrobot w dębie. Potem w górze i szeleszczenie gałązek. Potem Hieronim ukazał się, cały odrapany, pokrwawiony, zwalany czarnem próchnem. Z konaru na konar zsunął się aż na ziemię. Pachniał dębowem drewnem, i stał pod nadrąbanym pniem, jak ryś wzięty w potrzask.

— Pójdź do domu!—rzekł Marcin groźnie, bo już na widok zuchwalca burzył się w nim gniew głucho. — Sebastjanie, prowadź go!

— Precz!—krzyknął Hieronim. —Pójdę sam!

Spojrzał na tego, na owego. Oczy miał rozgorzałe jak żagwie. Nigdy nie był tak pełny leśnej dzikości i swobody w sobie, jak wtedy, wobec tych, co go jęli i wiedli wziętego, ale nie pokonanego, idąc za nim zdaleka.

Gdy weszli na dziedziniec, Hieronim ani raczył zauważyć, jak się zbiegła czeladź ze wszystkich kątów, jak Margola głośno ucierała nos i oczy. W zaciekłem milczeniu, skrycie bacząc na najmniejszy ruch Marcina i pachołków, szedł ku domowi.

(D. c. n.)

POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawiński.

Ciąg dalszy

— Wszystko to zrobiła woda przez niezmierzony przeciąg czasu—rzekł fermer.— Wystawcie sobie, panowie uczucie pierwszych hiszpańskich kolonistów, kiedy poszukując złota, znaleźli się raptem nad wąwozem. Właściwie kanjon Kolorado został odkryty i dostępny dla turystów dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia. I dziś jeszcze są w kanjonie olbrzymie przestrzenie, których noga ludzka nie przestąpiła. Nieliczni mieszkańcy kanjonu, Indjanie, Cowboye i poszukiwacze złota rozsypani są tak na tym olbrzymim obszarze, że śmiało można nazwać ten wąwóz niezamieszkałym.

— Jakim sposobem można dostać się tam na dół? — spytał Jan, spoglądając w straszną głębię.

— Prowadzi tam wązka ścieżka, lecz dostępna jest tylko dla tych, którzy nie podlegają zawrotom głowy. Jeżeli panowie nie obawiają się tej dość uciążliwej jazdy, trwającej mniej więcej dwie godziny, z przyjemnością będę towarzyszyć.

Obaj przyjaciele chętnie przystali i małe towarzystwo znalazło się wkrótce przy gospodzie, skąd właśnie zaczyna się ścieżka, prowadząca w głąb wąwozu.

— Nie obawiajcie się, panowie — rzekł fermer, widząc zakłopotane miny swych gości.—Wasze konie już nieraz odbywały tę drogę, idą zupełnie pewnie, nie potrze-



W górze na skraju ścieżki ukazała się grupa jeźdźców.

Chmurzyński i Monsard byli wogóle odważni i pewnie siedzieli na siodłach, lecz gdy zobaczyli stromą ścieżkę, mającą zaledwie dwa metry szerokości (a więc jedno mylne stąpnięcie mogło strącić ich w przepaść), spojrzeli na siebie trwożnie jakgdyby się zawahali.

bujecie się więc niczego obawiać. Zamknijcie oczy, w razie gdyby pierwiastkowo widok przepaści robił na was przykre wrażenie; jestem jednak pewny, że prędko się do tego przyzwyczaicie.

Polegając na zapewnieniach swego przewodnika, nie zwlekali dłużej i podą-

żyli za nim; a chociaż z początku, zjeżdżając, doznawali ogromnie przykrego uczucia, wkrótce jednak odzyskali pewność siebie. Konie i muł nie podlegały zawrotom i z obojętnym spokojem kroczyły po wązkiej, stromej ścieżce, jakgdyby znajdowały się na zwykłej gładkiej drodze.

Uciążliwa to była jazda, gdyż jeźdźcy, chcąc uwolnić od ciężaru przednią część zwierzęcia, musieli silnie przechylać się wtył. Po dwugodzinnej jeździe, znaleźli się na dnie kanjonu i dopiero teraz przekonali się. jak wielkie były w rzeczywistości góry, stojące na dnie wąwozu.

Rozłożyli nad brzegiem rzeki swoje zapasy, a posiliwszy się i wypocząwszy, udali się, by oglądać różne osobliwości, które co krok nastręczały się ich oczom. Kiedy słońce oświecało już tylko szczyty gór i rąbek kanjonu, fermer przypomniał swym gościom o odwrocie, gdyż konie potrzebują najmniej trzy godziny czasu, aby dostać się na górę. Wsiedli na konie i krok za krokiem podnosili się w górę.

W połowie drogi zatrzymali się. aby już zmęczonym zwierzętom dać chwilę wypoczynku. Znaleźli właśnie miejsce na tyle szerokie, że mogli zsiąść z wierzchowców.

Chmurzyński, który wraz z Bobem jechał na czele drużyny, również zsiadł z konia, gdy wtem usłyszał nad sobą głosy ludzkie i uderzenia kopyt końskich. Spojrzał więc w górę, gdzie ścieżka prowadziła prawie że nad prostopadłą skałą i zobaczył zjeżdżających jeźdźców. Bob złożył ręce przy ustach i wołał do jeźdźców, aby lepiej zsiedli i konie sprowadzili.

W chwili, kiedy jeźdźcy zatrzymali konie i przysłuchiwali się nawoływaniom, Chmurzyński poznał ku wielkiemu zdziwieniu człowieka, który jechał na przodzie. Był to nikt inny, tylko „czarny Dik".

Kto jechał za nim, czy czasem Gonzales nie był w tem towarzystwie, nie można jeszcze było rozpoznać.

Tymczasem przybyli fermer i Monsard i również poznali podejrzanego Allana. Trzeba było szybko decydować w tem bądź cobądź przykrem położeniu. Wprawdzie w ostatnich czasach nie miał fermer z nim żadnych zatargów, lecz nie można było ufać Allanowi; mógł właśnie skorzystać ze sposobności i porachować się z nim o dawne jakieś sprawy.

— W każdym razie położenie nasze jest pomyślne — rzekł fermer, zastanowiwszy się nad sytuacją. — A więc broń w ręce, obok nas zwierzęta tuż przy skale; Allan i jego ludzie muszą nas minąć. Niech tylko który z nich wykona jakiś podejrzany ruch, będzie zastrzelony. Proszę zachować zimną krew, ponieważ okazane zdenerwowanie lub strach, może podniecająco działać na tych ludzi.

Postąpiono według wskazówek fermera, ten zaś dał znać znajdującym się na górze jeźdźcom, że miejsce jest wolne że mogą swobodnie przejść obok nich.

Czarny Dik jednak jakby zwlekał, widocznie obawiał się zaczepki, wreszcie dał swym towarzyszom znak i ruszyli.

Po dwóch minutach — Gonzalesa wśród nich nie było — przybyli na miejsce, gdzie zatrzymał się fermer ze swymi gośćmi.

Na pewnej odległości od czekających zeskoczyli zręcznie z siodeł, i trzymając w lewej ręce cugle, a w prawej broń, przeszli obok fermera i jego towarzyszy.

Obrzucili się nawzajem badawczem spojrzeniem, pragnąc dojrzeć najmniejszy podejrzany ruch. Być może, czarny Dik chętnie, korzystając ze sposobności, napadłby na podróżnych, zdawał sobie jednak sprawę z niebezpiecznej sytuacji: jedno pchnięcie fermera wystarczyłoby, by został strącony w przepaść.

Zdobył się nawet dlatego na jakieś

nieuniknione pozdrowienie i znikł wkrótce wraz ze swymi towarzyszami.

Przyjaciele lżej odetchnęli, ponieważ spotkanie to nie było zbyt miłe. Chcieli znów wsiadać na konie, tymczasem koń Chmurzyńskiego odmówił posłuszeństwa, widocznie niedostatecznie wypoczął. Inżynier poklepał go pieszczotliwie po szyi i włożył nogę w strzemię — nagle stało się coś, co wywołało okrzyk przerażenia obecnych: koń szarpnął w bok i pchnął silnie swego jeźdźca na brzeg skały. Fermer i Bob podbiegli, aby schwycić narażonego na niebezpieczeństwo, lecz przybyli zapóźno, gdyż kamień usunął się z pod nóg młodego człowieka, który zaczął staczać się na dół.

Napróżno usiłował schwycić się czegoś rękami; po chwili z głuchym krzykiem spadł ze stromej skały na dół...

Świadkom tej strasznej sceny krew zatrzymała się w żyłach, tak, że przez chwilę stali bez ruchu, jak skamieniali.

(D. c. n.).

WRÓCI...

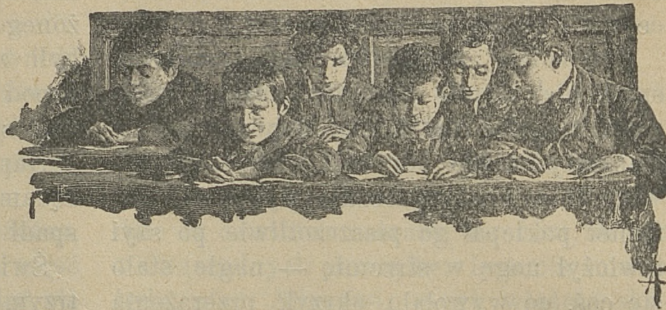
V. O. M.

Gdzieś na zboczach gór,
kędy drzemią mgły
jest królewski dwór.
Opasał go mur.
czarodziejskie sny
marzy stary bór.
Wokół biały śnieg
idzie polem mróz.
hej, pieszczotą legł
biały, cichy śnieg
na gałązki brzóz.
Jest królewski dwór...
. . . .
W nim dziewica - sen,
przędzie złoty len
i piosenki śpiewa...
Szczęście cudnych dum,
kwiatów cichy szum,
wtórują jej drzewa.
„Wróć tu wiosno, wróć,
kraj daleki rzuć,
bo tak w koło smutno...
Cisza zimy wkrąg,
na przestrzeni łąk
śniegu białe płótno.
Niechaj szemrze sad
za strzechami chat
niech się płoni zorza.
Pryśnie mroczny żal,
zima pójdzie w dal
wróć wiosenko hoża...
Próżno leci śpiew,
z cichym wtórem drzew,
próżno łka tęsknotą.
Trzeba tęsknić, śnić
marzeń przędze wić,
aż się w pieśni wplotą.
Pryśnie biały śnieg
i lód spłynie z rzek,
wiosna oddal rzuci —
Zieleń cudna wkrąg
na bezbrzeżu łąk,
wróci słońcę, wróci.

St. Leonard Kocemski.

Marja Buyno.

KOLEDZY.



Ciąg dalszy.

Michaś szedł z głową opuszczoną, bardzo przygnębiony, pobladły, co zdawało się irytować Witolda.

— Et, ślamazara jesteś! Gdybyś był jednego porządnym kułakiem uraczył, byłoby cicho, boby się ciebie bali. A tak co? zobaczyli, żeś niedołęga, to nam teraz spokoju nie dadzą!

Tymczasem do klasy wszedł nauczyciel francuskiego, Żak, jak go nazywali chłopcy, żywy, typowy francuz, mówił dużo, gdy był w dobrym humorze żartował i dowcipkował z uczniami, lecz w „niepogodne" dnie złościł się i sypał „dwóje i pały" jak z rękawa.

Dziś lekcja zapowiadała się wesoło: wąsiki pana Żaka były ślicznie podkręcone, czupryna sterczała do góry, nieomylne znaki dobrego humoru.

Usiadłszy na katedrze, pan Żak pochylił się nad dziennikiem: uderzyło go nowe, nieznane mu nazwisko: s-t r-z-e... jąkał, nie mogąc strawić zbiegu czterech spółgłosek, aż wreszcie wykrztusił: s-tr-z-em-bo-sz!

Uczniowie przyzwyczajeni byli do żartów Francuza na temat trudności w wymawianiu nazwisk polskich i nikt się o to nie obrażał. Michasia jednak niemiło uderzyło jego własne nazwisko zmienione przez akcent i złą wymowę. Zarumienił się silnie i zrywając się z miejsca, rzekł podniesionym głosem:

— Zdaje się, że chodzi o moje nazwisko. Nazywam się—Strzembosz!

Pan Żak spojrzał w stronę chłopca z uśmiechem:

— Djabelnie trudne do wymawiania! To kolega jest synem radcy Strzembosza?

Michaś zaczerwienił się jeszcze mocniej.

— Nie mam ojca. Radca Strzembosz jest moim stryjem.

— Ah, tak! Pochwal mi się, kolego tem, co umiesz.

Chłopiec mówił po francusku, bardzo dobrze, więc pan Żak okazał mu swoje wielkie zadowolenie, a nawet zauważył z uśmiechem:

— A nie sroż się na mnie, że mi trudno przeczytać twoje nazwisko. Pomyśl tylko: tyle spółgłosek odrazu, to dla biednego francuza stanowczo za dużo!

Witold patrzył na kolegę z zachwytem.

— Nic mi nie mówiłeś, że masz takiego bogatego stryja — mówił z wymówką, lecz i z odcieniem szacunku.

— Nie mówiłem, bo tego stryja prawie nie znam. Byłem tam raz z mamą, lecz więcej nie pójdę!

— A to dlaczego? Tacy bogaci krewni zawsze się na coś przydadzą!—ciągnął Witold zwykłym sobie tonem dorosłego człowieka.

— Nie podobał mi się: zimny taki i nieczuły. A przytem...

— Co?

Michaś zawahał się, lecz Witold nalegał usilnie, iż w końcu rzekł:

— Ten stryj obawiał się, byśmy go nie prosili o pomoc... dał to poznać matusi...

— Ah, tak! I obraziliście się! Wcale niepotrzebnie.

Na to zupełnie niespodzianie Michaś obruszył się gwałtownie.

— Zapamiętaj sobie, Witoldzie: ani słowa krytyki, gdy chodzi o moją matkę!

Witold przestraszył się. Skurczył się jakoś i zrobił taką pokorną minę, że Michaś zawstydził się swego szorstkiego tonu i dodał, jakby na usprawiedliwienie:

— Ty nawet nie możesz sobie przedstawić, czem jest dla mnie moja matusia! Ja bardzo ją kocham, lecz szczególniej, gdy jest bardzo, bardzo nieszczęśliwą.

III.

Pani Strzemboszowa od roku prowadziła życie, które podkopywało jej delikatne, wątłe zdrowie. Od lat najmłodszych przyzwyczajona do dobrobytu, pieszczona i uwielbiana przez swoje otoczenie, nagle stanąć musiała do ciężkiej walki o byt, sama zupełnie, bez żadnej pomocy, podtrzymywana jedynie wielką miłością dla swego jedynaka.

Po śmierci męża została zupełnie bez środków do życia; zarówno jej duży posag, jak i osobisty majątek jej męża, zginęły w przedsiębiorstwach, które skończyły się zupełną klęską i były pośrednią przyczyną śmierci ukochanego przez nią człowieka. Rodziny swojej bliższej nie miała, zaś bogata rodzina męża usunęła się od niej, obawiając się, by ciężar utrzymania wdowy z dzieckiem nie spadł na ich barki.

Nie przyzwyczajona do pracy, wzięła się do niej mężnie i zdawało się, że zdołała bez żadnej innej pomocy dać należyte wykształcenie Michasiowi.

Inteligentna bardzo, o niezwykle ujmującej powierzchowności, łatwo zdobywała sobie przychylność ludzką i dzięki temu zapewne znalazła sporo lekcji, z których utrzymywała się wraz z synem. Obecnie, wobec zwiększonych wydatków, powiększyła ilość godzin przyjmując lekcje wieczorne, lecz wkrótce okazało się, że zajęcie to było ponad jej siły: mizerniała, szczuplała, częste migreny odejmowały jej resztę sił.

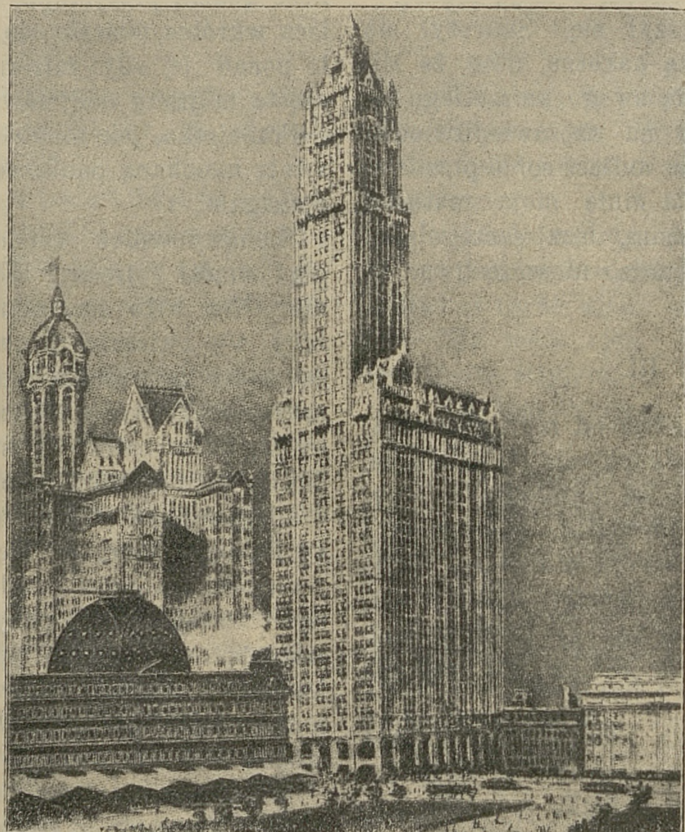
Franciszka, jak mogła tak pielęgnowała swoją ukochaną panią, lecz nie wiele to pomagało.

Michaś również widział zmieniony wygląd matki i dręczył się nim niesłychanie. Nie było naturalnie mowy o tem, żeby się zwierzać ze swoich zmartwień; on, który za wszelką cenę chciał szczęścia przysporzyć swej ukochanej matusi, miałby jej życie zatruwać swemi kłopotami! Nosił więc w sobie tajemnicę stosunków z kolegami jak wielki, bezustannie ciążący kamień, zmuszał się do okazywania wesołości i radości, malował w słonecznych barwach swój pobyt w szkole, opowiadając, gdy go do tego zmuszała matka to, co widział w swych marzeniach, lecz co było bardzo dalekie od rzeczywistości.

W takiem udręczeniu upłynęło parę tygodni. Stosunki z kolegami nie naprawiły się, lecz za to stało się widocznem, że primus Zygmunt zyskał nielada rywala. Michaś odrazu zajął dominujące miejsce, jako umysł bystry, pojętny, zastanawiający się. Profesorowie wyróżniali go widocznie i tem chętniej, że widzieli w nim niekłamany zapał do nauki.

D. c. n.

DRAPACZE NIEBA.



Rys. 1.

Mniej więcej przed dwudziestu laty zostały w Ameryce zbudowane tak zw. „drapacze nieba”, które dosięgały 12 pięter wysokości. Zdawało się, że New-York, który zapoczątkował te budowy, osiągnął wówczas rekord wysokości.

Tymczasem z biegiem czasu, domy te rosną wciąż i przybierają na wysokość. Obecnie w wielkich miastach amerykańskich domy 12-piętrowe są zwykłemi budowlami, nie zwracającemi uwagi, ponieważ widzi się tam olbrzymy, mające 20 do 30-tu pięter wysokości.

Początkowo sądzono, że budowy te będą bardzo nietrwałe i będą ulegały częstym katastrofom. W praktyce okazało się, że są to budowy bardzo solidne i trwałe.

Przyczyniają się do ich wytrzymałości sil-

ne fundamenty, bądź powstałe z naturalnych skał, bądź bardzo głębokie. Po za tem skielety tych wielkich budowli są całkowicie sporządzone ze stali.

Dotąd „drapacze nieba" wyrastając niepomiernie w górę, zajmowały stosunkowo niewiele miejsca. Najnowszy jednak z olbrzymów, dom towarzystwa kolei żelaznej Hudsońskiej w Nowym-Jorku (rys. 2) i pod względem obszaru budzi podziw starego świata, czyli Europy. Budynek ten zajmuje powierzchnię 7,000 kw. metrów i posiada 25 pięter, wliczając w to 3 piętra w suterenach. W gmachu tym pracuje dziennie 10,000 ludzi, t. j. tyle, ile mniej więcej wynosi ludność małego miasteczka.



Rys. 2.

Drapacze nieba nie są po większej części domami mieszkalnemi. Mieszczą się w nich przedewszystkiem sklepy na dole i pierwszych piętrach, biura, składy, wreszcie restauracje, sale koncertowe, teatry.

Przedstawiony na rys. 1-ym „Woolworth-Building" w Nowym Jorku, liczy, począwszy od fundamentów aż do wierzchołka wieży 270 m. wysokości.

O promieniach, które zagasły przedwcześnie.

Ciąg dalszy

Lecz znów po burzy słońce zawita
cała ziemia jaśniej odkwita:
Na łąkach w drugiej szacie wiośnianej
Złotego kwiecia błyszczą się łany
Jasne, rosami świeżemi lśniące,
Rzekłbyś, że iskier sypnęło słońce
Gdy nad zieloną płynęło falą,
Bo gdy na łąki spojrzysz tęczące,
To już jak słońca, nie jak miesiące,
Kwiaty się złocą, skrzą się i palą.
A kiody wiosna szczytu dosięga,
Znów zmienia barwy przyrody księga,
Bo przez zbożowe płonią się łale
Czerwone maki, niby korale,
Świecą w ostatnie wiosenne dni
Na pożegnanie purpurą krwi. —

O, tak ja szedłem! Przez srebrne łany
Marzący, cichą tęczą owiany, —
A teraz idę — już nie jak dziecię,
Lecz wśród piorunów przez złote kwiecie,
A już przedemną świecą w oddali
Czerwone maki z krwi i korali.
W purpurę wejdę, gdy złota przebrnę,
A już za sobą łany mam srebrne.

O mój ty złoty życia okresie!
Twa moc jak burza
W górę mnie niesie,
W błękit zanurza
I oddech mój rwie się
Widzieć te słońca,
Co po przestworzu,
Jak złote róże
Lecą ku górze
W niwy bez końca
Na gwieździe morzu;
O, lubię bujać w przestworzu!

A bieg mych myśli bywa różnoraki, —
Raz się zrywają, niby złote ptaki
I uleciawszy świecącą plejadą
Czerwone słońcem, purpurowe skrami,
Błyskawicowych kolorów gromadą
Nad błękitnemi lecą powietrzami...
A kiedyindziej — niby dźwięk harfiany
Idą i drżą...
I na tęczowe stąpają łany
Z pieśnią i łzą.
W rosę się stroją i w kwiaty wieńczą
I uśmiech ślą,
I promieniące łzawą otęczą
Idą i drżą...
I dźwięk ich szklanny
Jak szmer fontanny
Płynie i dźwięczy
I falą jasną
Płyną, aż zasną
Pod bramą tęczy.
Albo, gdy srebrne rozbłysną miesiące,
Płyną, jak mary, za nocą tęskniące,
Płyną na cichej księżycowej fali
A ognik drżący przed niemi się pali.
I tak niezmierną cichością owiane,
Przychodzą spocząć na kwiaty różane.
I zadumane o drzemiących ziołach
Na księżyc oczy obracają smętne,
A księżyc jasność kładzie im na czołach.
Wokoło mgły się rozlewają mętne
I widma stają w łzach rosy przedrannej,

Jak przy księżycu bijące fontanny. —
A kiedy cichość w powietrzu ujrzycie
I jakąś świętość na różanym świecie
I jakiś oddech płynący z przestrzeni,
Co chmury barwi i tęcze rumieni;
Albo, gdy dzienne utai się słońce,
Gdy usłyszycie—choć się nic nie ruszy,
Głosy z powietrza mówiące do duszy,
Gdy jakieś widać anioły gwiażdżące,
Gdy przez niebiosa mleczna idzie droga —
Zmilknijcie! — Wtedy modlę się do Boga.
— A chcecie widzieć kościół mego Pana?
Spójrzcie! Filary — to dębów gromady,
Posadzka z kwiecia utkana,
Z tęczy — arkady;
Lampy z korali, na każdym filarze
Z kryształu szyba barwiona,
Z róż baldachimy, a z głazu ambona,
Ze słońc ołtarze!
W tym najpiękniejszym kościele
Modlę się często i wiele!
Dzięki Ci, Panie, za młodość tak świętą
I taką szczytną,
I za pieśń każdą, z serca wyjętą,
Co lśnią i kwitną. —
Dzięki Ci, Panie, za natchnień potęgę
Wielką i ciemną,
Dzięki Ci, Panie, żeś przyrody księgę
Rozwarł przedemną;
Żeś mnie na wielkość stworzył — i śpiewanie,
Dzięki Ci, Panie!

Pisząc ten wiersz, miał zaledwie lat 15, a żaden z naszych wielkich poetów nie stworzył w tym wieku nic równie pięknego.

Dobry stosunek z kolegami cenił wysoko: lubił wszystkich, lecz przyjaźnią obdzielał kilku tylko wybranych, zbliżonych do niego uczuciem i wyobraźnią Na Podgórzu pod Krakowem, ukończywszy cztery klasy, przeniósł się do Krakowa, aby dalsze przechodzić w gimnazjum Ś-go Jacka. Opuszczając Podgórze, pożegnał kolegów serdecznym wierszem. Po rocznym w Krakowie pobycie, napisał śliczny wiersz do dawnych kolegów, p. t. „Wspomnienie". Oto on:

Rok cały znowu tedy
W żałobnej przemknął szacie...
. . . .
O, bracia, czy mnie kiedy
Tam jeszcze wspominacie?
. . . .
Rok stary, w mgły spowity,
Upłynął mi z tęsknotą,
A wy na szarfę złotą,
Na nowych jutrzeń świty,
Patrzycie, jak się złocą...
Wspominać? — Po co?.. Po co?..
. . . .
Wy patrzeć się nie chcecie
W przeszłości zżółkle karty,
Ale ja zawsze przecie
Mam na nie wzrok otwarty,
Dziwne mnie gonią mary —
. . . .
I ulic tych zakręty,
I rynek rozwinięty
I kościół ciemno-szary —
I wieża ścięta, sina,
Was wszystko przypomina!
. . . .
Takie me przeznaczenie:
Z pamiątek brać pamiątki,
Cieniami gonić cienie
I chować wspomnień szczątki
I listki zwiędłych róż,
I serce zwać mogiłą
Tego, co dawniej było,
Czego dziś niema już!
. . . .
Lecz na bok od kościoła
Gmach szkolny jeszcze stoi
I on mi jeden woła
Że wyście bracia moi!
. . . .

Te schody, te poręcze,
I proch ten, co się szarzy
Na ścianach korytarzy,
I w oknach słońca tęcze –
I każda pajęczyna
Tak mi was przypomina...
. . . .
Tak żywo w oczach stoi
Ten gmach w swej szarej szacie...
. . . .
O bracia, bracia moi!
Czy jeszcze mnie kochacie?
. . . .

D. c. n.

Historja złotego tronu.

Turcja jest obecnie w bardzo ciężkiem położeniu materjalnem. Znikąd nie może otrżymać pożyczki, a pieniędzy potrzeba na gwałt. Mahomet V postanowił więc zastawić osobliwość bajecznych skarbów sułtańskich, złoty tron kalifów. Pożyczka na tron wynosić ma ładną sumkę: około 50 miljonów rubli. Czyż jest lombard, któryby mógł przyjąć taki „fant"? Nie, nie lombard to udziela pożyczki, lecz spółka bankierów amerykańskich, którzy „ryzykują" dać pół setki miljonów za złoty tron sułtański.

Do niedawna, t. j. do pierwszej rewolucji młodotureckiej, tron ten był przechowywany w tajemnym skarbcu pałacu sułtańskiego i przez cztery stulecia nie oglądało go oko niewiernego. Od czasu rewolucji pokazywany jest—naturalnie, za dobry „bakszysz" — każdemu, kto ma rekomendację od którego z ambasadorów.

Tron należał początkowo do szachów perskich. Turcy zdobyli go na Persach w r. 1514. Jest to szeroki fotel z kutego złota, z okrągłem oparciem, wysadzany perłami i drogiemi kamieniami, oraz zieloną emalją. Na siedzeniu leży szeroka poduszka, wysadzana perłami.

Oprócz tego tronu, skarbiec sułtański posiada niezliczoną liczbę innych przedmiotów bajecznej wartości. Jest także tron sułtana Achmeda I, ozdobiony szmaragdami, wielkości jaj kurzych, obwieszony sznurami wielkich pereł. Najwspanialszych brylantów i innych kosztownych kamieni skarbiec posiada duże ilości.

Czy te bajeczne skarby powędrują za tronem, aby zaspokoić najgwałtowniejsze potrzeby walącego się państwa otomańskiego, czy też, razem z Konstantynopolem, wpadną w ręce zwycięskich Słowian.

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3